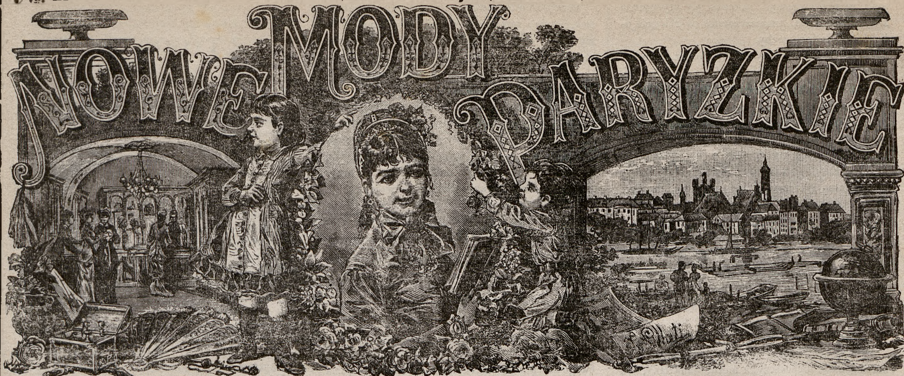
№ 22. Warszawa, dnia 20 Maja (1 Czerwca) 1881 r. Rok II.



PISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA KOBIET,

POŚWIĘCONE LITERATURZE, WSZELKIM GAŁĘZIOM PRACY KOBIECEJ ORAZ MODOM.

Warunki prenumeraty Edycyi I-ej,
w Warszawie: Miesięcznie kop. 42, kwartalnie rs. 1 kop. 25, półrocznie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 5.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 1 kop. 60, półrocznie rs. 3 kop. 20, rocznie rs. 6 kop. 40.

ADRES REDAKCYI:
ulica Niecała Nr 8.
Cena pojedyńczego numeru 20 kop.

Warunki prenumeraty Edycyi II-ej,
w Warszawie: Miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

NIEDZIELA.

Był ranek wiosny: słońce ledwie wstało —
W rosie zaspane promienie kąpało;
A ziemia świeża—zielone równiny—
Powietrze czyste, jak oddech dzieciny.
Blado-błękitne ponad ziemią leży
Schylone niebo i dzwonów pacierzy
I gwaru ptasząt słucha. Lud ze sioła
W świąteczne szaty, ubrany chędogo,
Do stojącego na wzgórzu kościoła —
Na nabożeństwo płynie białą drogą.
A pod olchami na łące, na dole
Siedzi nad rowem ubogie pachole:
W brudną koszulę ubrany i bosy —
Słonko pozłaca jego lniane włosy.
On gąski pasie i ze smutkiem w głosie
Śpiewa—a śpiewka płynie wdal po rosie —
Jasne oczęta wodzi po lazurze,
Jakby Pan Jezus sam go słuchał w górze
I święci—a tak głośno śpiewa mały,
Jakby sam jeden był na ziemi całej —
Bo też sam jeden—ojcowie już w grobie —
Więc z żalu chłopię wyśpiewuje sobie:
O onym ptaszku, co błądzi po polu,
A serce pęka od wielkiego bolu —
I o tych listkach, które lecą z drzewa,
Ze łzami w oczach chłopak sobie śpiewa...
Aż ulitował się tam ktoś w lazurze
I odpowiedział mu głosem skowronka,
I kiedy kościół stojący na górze
Pocieszał chłopię srebrnym głosem dzwonka,
Więc na południe, kiedy wracał doma,
Z pręcikiem w ręce, z gęsiami pięcioma —
W oczkach nie było tych łez, co miał zrana,
I śpiewał sobie: „Dana, moja dana..."

Michał Bałucki.

WYWRÓŻONA.

NOWELLA

SEWERA.

(Ciąg dalszy).

— Pamiętasz o woźnicy? — zapytał młody człowiek usługującego chłopca w bufecie.

— Wypił już dwie szklanki, sir, — odparł rezolutnie chłopiec.

— Zanieś mu trzecią, a niech pamięta o „starej."

— O naszej kochanej starej, — dodał dobrodusznie uśmiechnięty z pewną rezygnacyą, poseł.

Po skończonej libacyi — detektyw, woźnica, koń jego i keb, znikli wśród tłumów, aby wypłynąć na cichej uliczce, w której stał dom wdowy Hay.

— Czy pani możesz wyobrazić sobie jaki jest główny powód zawziętości wdowy Hay?—zapytał smutnej miss, młody człowiek, gdy zostali sami.

— Nie mam pojęcia, sir... tak mało ją znam, tak mało z nią rozmawiałam — odpowiedziała drżącym głosem dziewczynka.

— Wdowa Hay ośmiela się utrzymywać... — mówił, wpatrując się w twarz dziewczęcia, dżentlemen, — że pani zarabiając przeszło funta tygodniowo, nie miałaś dla niej pięciu szylingów.

— A jednak, jest to prawda — rzekła cicho i spokojnie, jak gdyby dla siebie, młoda dziewczyna i zamyśliła się, szepcząc: — inaczej być nie mogło...

— Inaczej być nie mogło—powtórzył młody człowiek.

— Tak, sir,—dodała poważnie—nie mogło...

Zamyślili się oboje. Młody człowiek nie śmiał pytać, dziewczynka nie miała odwagi zwierzać się—milczeli oboje.

Zato między dorożkarzem, a posłem lorda maira... gorąca rozmowa przez odchylone okienko w pudle keba, nie ustawała na chwilę. Na jednym rogu, właściciel keba zatrzymał konia, przyjaciele wstąpili na coś gorącego, mocnego, a dającego się wypić duszkiem.

Na drugim rogu poseł maira, prosił o zatrzymanie się... i znów dwaj przyjaciele wstąpili na coś zimnego, lecz nierównie mocniejszego, a dającego się odrazu pochłonąć.

Gdyby było na drodze więcej narożników ubranych w okazałe, zielone szyldy, kto wie, czyby ambicya dorożkarska pozwoliła je ominąć.

Nieopodal ulicy, na której rezydowała wdowa Hay, keb się zatrzymał.

Wysłaniec lorda wyszukał dwóch policyantów i zbierając od nich szczegóły o wdowie Hay, wspólnie we czterech, ułożono skombinowany plan działania.

W tym celu lordowski wysłannik przybrał skromną postawę, o ile pozwalała na to godność pozycyi; ogładził kapelusz, westchnął, pożegnał

towarzyszy i wyruszył, podczas gdy aryergarda z wysokości keba, umieszczonego na zakręcie ulicy, śledziła jego ruchy.

Do drzwi wdowy Hay zastukano raz, o ile być może miękko i delikatnie.

— Kto tam, i po co?—zapytała cierpko wdowa, odchylając okno.

— To ja, droga pani—odparł słodko przybyły, zdejmując kapelusz — i jeżeli się nie mylę.... lecz się nie mogę mylić, patrzę na wdowę, po naszym nieodżałowanym doktorze Hay, który leczył nasze zwierzęta i dbał o zdrowie ich nóg... To ja, droga pani — i smutno mi, że tak prędko zapominamy dawnych przyjaciół... Co to znaczy opuścić na parę lat Anglię — prawda, droga pani?..

Wdowa Hay odznaczała się w wysokim stopniu podejrzliwością, nie dowierzała, kręciła główką i niewiele brakowało, aby okna nie zamknęła.

Spostrzegł to wysłannik i zaczął powtórnie:

— Czy też, droga pani, posiada jeszcze ową sławną maść nieboszczyka męża, pana Hay, od której połamane kości nóg końskich zlepiały się?.. W Ameryce, dokąd zawiozłem dziesięć grosów słoików, ma ona już ustaloną reputacyę. Gdy się jeszcze jest młodą, zaniedbywać taką sprawę—jest grzechem. Droga pani, masz pewno zapas tej maści?..

Dżentlemen, gładzący ze spuszczonemi oczyma swój kapelusz, dość długo czekał na odpowiedź.

Po głowie wdowy krzyżowały się rozliczne myśli, kombinacye i projekta—Ameryka, miliony, maść i mąż...

— Co do zapasów, o których sir wspominasz, posiadam jeszcze kilkadziesiąt słoików.

— Kilkadziesiąt!.... — zawołał dżentlemen, wdział kapelusz i machnął ręką. Z tajemnicą przyprawiania tego sławnego preparatu nie rozstaniesz się pewno pani?—dodał z boleścią.

— Nie, z tajemnicą się nie rozstanę, — odparła, ciężko wzdychając, wdowa.

— W takim razie nie jestem tu potrzebny,— rzekł, kłaniając się lekko i odchodząc amerykanin.

— Zaczekaj, sir,—pochwyciła wdowa, odbiegając od okna,—zaczekaj!..

Amerykaninowi błysnęły oczy radością i tryumfem. Drzwi się otworzyły — gość stanął na progu.

— Droga, kochana pani Hay, jest zawsze jednakowo dobrą i przyjemną... — przemówił uroczyście, wyciągając do uścisku rękę.

— Proszę, proszę... — odezwała się wdowa, ciągnąc za sobą gościa.

Drzwi się zamknęły.

— Droga, kochana pani—powtarzał stęskniony za maścią amerykanin, ściskając ręce wdowy. Droga, moja pani!..

Weszli do pokoju na parterze — dżentlemen rzucił się na fotel—i zaczął głośno, a serdecznie się śmiać. Wdowa Hay stanęła osłupiała.

— Nareszcie, piękna Rebeko, jesteśmy sami!. Widzisz, otworzyłaś, przepowiadano ci, że otworzysz!.. Ha!.. ha!..

— Zdrada! — wrzasnęła strasznym głosem Rebeka, rzucając się do okna — spojrzała, zbladła i zaniemiała.

— Beky... Beky... cóżeś tam ujrzała—wydeklamował patetycznie, wesoły posłaniec lorda.

Istotnie Beky ujrzała przed swym domem znanego dorożkarza, osadzającego konia i dwóch policyantów, wysuwających się cicho, a zgrabnie z keba.

Przyjaciele lordowskiego posłańca, czekali otwarcia się i zamknięcia drzwi mieszkania wdowy Hay, aby natychmiast zająć strategiczne stanowisko naprzeciw domu.

Amerykanin podniósł się nieco w fotelu i zamglony wzrok również posłał do okna.

— Beky, droga Beky... może zawołasz o pomoc — mówił czule, — przybędą, natychmiast przybędą... Lub jeżeli twoja skromność nie pozwala na to, ja ich wezwę, — rozkaż, powiedz, kiwnij główką!.. Beky, oddasz tajemnicę przyrządzania maści wraz z wdowią twoją ręką!?. Ha! ha,.. Beky... wyborny projekt!..

Kolosalnych rozmiarów Rebeka, rzucała z oczu pioruny, ściskając pięście i gryząc wargi.

— Czego chcesz? — jęknęła siadając na stołku.

— Czego ja chcę, moja Beky?.. Naprzód chcę twego zaufania, a potem cierpliwości.

— Odpowiadaj, czego ty chcesz odemnie!? — powtórzyła, tupiąc nogą.

— Czego ja chcę?.. Ja niczego nie chcę, prócz twego serca. To nasz kochany lord i sędzia postanowił ratować młodą obywatelkę—i w tym celu wydał wyrok,—który jest tu.

Pokazał na serce, lub raczej na kieszeń surduta.

— Wyrok...—powtórzyła wdowa.

— Szlachetny lord wysłuchawszy zażaleń strony przeciwnej, zawołał mnie i w te słowa przemówił:

— Dieks, idź i przywróć porządek! Nie pozwolę, nigdy nie pozwolę — mówił dalej lord,— droga Beky, uważaj, — aby jeden Pipes z City, jeden nędzny Pipes, rujnował obywatelkę z naszego okręgu. Dieks ratuj ją i przywróć porządek, jak kiedyś przywracał go dzielny Hay w własnym domu.

Posłaniec lorda zrobił parę odpowiednich ruchów ręką,—mrugając na wdowę.

— Zamkniesz ty gębę raz!—krzyknęła wdowa cała w płomieniach, podchodząc z zaciśniętemi pięściami do zuchwałego Dieksa.

Wątpimy bardzo, aby odwaga Dieksa w tak groźnej sytuacyi była naturalną, gdyż w takim razie należałoby ją uważać za nadzwyczajną. Wolimy raczej przypuścić, że pochodziła od ciepła, sprawionego gorącym grogiem i zimnym arakiem.

— Beky, Beky! ty się unosisz—odparł nieustraszony poseł.

— Czego tu chcesz!?—odpowiadaj!—wołała Beky, grożąc pięściami.

— Ja niczego nie chcę... — nasz lord żąda przywrócenia porządku, a Pipes z City czternaście pikowanych kaftaników — na jutro. Zważ, najdroższa Rebeko—na jutro.

— Zabierz wszystko — ty zakało rodu ludzkiego—zniszcz mnie i zrujnuj!..

Rebeka padła na stołek, zalewając się łzami.

— Beky—chciałaś powiedzieć: potworze, wężu, czyli inaczej—mężczyzno!—co na jedno wychodzi.

W tej chwili potwór w postaci mężczyzny spostrzegł gorące łzy Rebeki, płynące po szerokich policzkach.

(c. d. n.)

Z TYGODNIA.

— W obec pojawiających się pogłosek o mających nastąpić zaburzeniach u nas, w obec grozy nieszczęść w Cesarstwie z powodu walki z żydami, wystąpienie Bolesława Prusa w „Kuryerze Warszawskim,“ który w imieniu klas pracujących, wzywa ogół do składek, dla utworzenia funduszu wsparcia dla rzemieślników, — uważać można jakoby zażegnanie tej burzy.

Bolesław Prus może często zbyt dosadnie wytyka rany społeczne, wykazuje braki i potrzeby, ale wszystko to czyni z gorącą miłością kraju i społeczeństwa, z sercem prawdziwe obywatelskiem, i umie trafiać do przekonania ogółu. Bo czyż nie gorącego oklasku warta myśl tak zacna, aby w chwili gdy żywioły się burzą, podżegane przez namowy wichrzycieli, a obawa walki bratobójczej trwogą przejmuje serca, wynaleźć lekarstwo na ukojenie umysłów i drogą składek uchronić robotnika od rzucenia się na pastwę lichwiarzy w czarnej godzinie!...

Jak żywotną była myśl ta, — dowodzi suma przeszło 4,000 rubli wynosząca w przeciągu tygodnia w „Kuryerze Warszawskim“ zebrana.

Początkiem tego funduszu była kwota rs. 16 kop. 18, złożona przez projektodawcę, jako honoraryum należne za napisanie tego artykułu.

Tym sposobem Prus wykazał, że ludzie coś z pracy swej poświęcić mogą na ratowanie pracujących rodaków.

W oka mgnieniu wzór ten znalazł naśladowców. Składki się sypią jak z rogu obfitości, a ci, którzy niedawno drżeli przed grozą ogólnego popłochu, czując przytem *swą winę* w niejednem złem, które trapi robotników, najwięcej przyczyniają się do ratowania ich od biedy...

I dobrze czynią!.. Biedacy ci, krwawą pracą na chleb zarabiający, widząc gotowość do naprawienia złego, przebaczą ciężkie ich względem siebie winy i zakorzenioną nienawiść z serca zrzucić gotowi, bo serca polskie pełne są przebaczenia i Wiary!...

— Wcześniej tego roku, jak lat poprzednich, odbyła się wycieczka do Studzieńca.

Grono z kilkudziesięciu osób złożone, przyjęło w niej udział, i uniosło błogie przekonanie o skutkach usilnej pracy na drodze poprawy wychowańców osady.

Niezawodnie lepiejby było, aby osada karna dla małoletnich przestępców, okazała się dla naszego kraju zbyteczną, życzymy z serca, aby kiedyś to nastąpiło; lecz obecnie, niestety... nie może ona pomieścić wszystkich małoletnich, skazanych przez sądy na więzienie, tak zabójczo oddziaływające na młode, spaczone umysły. Zamiast bowiem poprawy—złe się bardziej wkorzenia w obcowaniu z zatwardziałymi zbrodniarzami—i zwykle wyrostek, po paru latach więzienia, opuszcza je wykwalifikowany zupełnie na ostatniego wyrzutka społeczeństwa.

Tu widzimy, na pierwszym planie, wpajanie zasad religii i pracy—tę dźwignię moralności.

Wychowańcy uczą się: szewstwa, krawiectwa, stolarstwa, kowalstwa i kołodziejstwa, a o postępach dobrze świadczą zamówienia, które w roku zeszłym dały Studzieńcowi czystego dochodu 2,782 rubli.

Prócz tego chłopcy sami robią porządek domowy: piorą bieliznę, chleb pieką, orzą, sieją, las karczują—i praca ta daje im ten spokój i zadowolenie wewnętrzne, i każe zapominać o życiu przeszłem, tak różnem od obecnego ...

Goście byli obecni na posiedzeniu i wysłuchali sprawozdania dorocznego; nastąpił potem egzamin, który dał rezultat bardzo korzystny.

Szkoła podzielona jest na oddziały: w pierwszym uczą się chłopcy pacierza i zasad Wiary, o której najmniejszego pojęcia częstokroć niemają, i rozpoczynają naukę czytania; w czwartym oddziale czytają i piszą dobrze po polsku i po rossyjsku, znają katechizm, historyę świętą, rachunki i trochę geografii.

Kary cielesne rzadko bywają wymierzane,

tylko w razach wyjątkowych, najwięcej tu działają upomnienia moralne, publicznie wypowiedziane.

Ogólny stan Osady — przedstawia się wzorowo. Poczęści jest to zasługą niezmordowanej pracy dyrektora, p. Zajewskiego. Potrafił on wzbudzić w swych wychowańcach—miłość ogólną i posłuszeństwo bez granic.

Wyszedłszy z Zakładu, zachowują oni serdeczny stosunek, i na tej uroczystości widzieliśmy dawnych wychowańców, już na swym chlebie będących, którzy wiele przywiązania okazują i najmilsze zachowali wspomnienia o swoim tu pobycie.

Straż ogniowa, uorganizowana z starszych chłopców, dzielnie wszelkie próby z sikawkami wykonywała, i zręcznością swą wrazie ognia, do ratowania przyczynićby się mogła niemało, rzucając się w groźny żywioł z odwagą i energią.

Wszystko to zacnemu dyrektorowi i dbałości Zarządu Osad rolnych zawdzięczamy!

— Daleko od naszej ziemi, w krainie, gdzie cytryny kwitną — sędziwy autor „Lirenki“ głosi Włochom słowem ciepłem i serdecznem rzecz o literaturze słowiańskiej, a w szczególności o literaturze polskiej.

Sterany wiekiem, Lenartowicz, nie ustaje jednak w pracy i darzy nas od czasu do czasu przepięknemi klejnocikami poezyi.

Niemało pracy poświęcił prelekcyom, które mają być prześliczne; dzienniki włoskie z entuzyazmem o nich się rozpisują; w języku polskim ukażą się wyjątki i bliżej nam dadzą poznać zapatrywania ostatniego poety z wielkiej plejady wieszczów polskich na poezyę ostatnich czasów.

Poeta żyje samotnie w Florencyi, dużo przecierpiał w życiu; nieobecny od tak dawna między nami—nieraz zapewne z goryczą pomyśli, że jest w zakątku swem zapomniany...

Żyje on jednak w sercach wszystkich, a żyć będzie, dopóki dzieci polskie „Lirenkę,“ „Wiochnę“ i wszyskie jego cudne pieśni na sercu i w ustach mieć będą, błogosławiony przez matki, bo młode pokolenie pełną piersią pije z tych poezyi uroczych—ożywczy napój, wszczepiający Wiarę i miłość do wszystkiego, co swojskie, co nasze.

Cała postać sędziwego wieszcza owiana jest takim urokiem poezyi, nic więc dziwnego, że w chwilach wolnych od pracy umysłowej—z pod dłuta jego wychodzą natchnione postacie apostołów Wiary i Chrystusa. Pełny goryczy cały żywot wieszcza, a jednak zazdrościć nam trzeba tych zasobów Wiary, tych natchnień poetycznych, a nawet tego nieskalanego, najmniejszym cieniem—charakteru.

Kto go zna, nie może nie pokochać, a dla nieznanych — jest on zawsze celem uwielbienia!...

— Czesi niedługo wielkie święto narodowe obchodzić będą wspólnemi siłami; z drobnych składek wystawili teatr „Narod sobie,“ może z dumą i radością każden Czech zawołać: „odtąd w mowie ojczystej słuchać będziemy arcydzieł mistrzów nieśmiertelnych i poić się jej dźwiękami.

Dużo gości z kraju wybiera się do Pragi uczcić święto pobratymców...

Nie puste znaczenie ma tu słowo „święto.“ Naród obchodzi zarazem swe odrodzenie—poniżany, deptany przez Niemców, wyzuty z swej mowy ojczystej, potrafił jednak nietkniętą skarbnicę wszelkich świętości uchować, i dziś, odnajduje swą sławę i wielkość, zapraszając braci Polaków na obchód radosny!..

P. Wł. Bogusławski słuszną robi uwagę, aby i nasi artyści z udziałem swym pospieszyli.

Czy ten projekt będzie możebnym do wykonania—czas to okaże!..

— Wracając na nasz zagon, wspomnieć musimy o świeżo wydanych nowellach B. Prussa. Kto ich nie zna, kto ich nie czytał?.. a jednak chciwie raz jeszcze przerzuca, bo w nich są te rysy głębokie, sarkazmy boleścią spowite i niepospolita siła oryginalności.

Prus ceniony wyżej, jako felietonista, z gorączką czytany i porywany, w utworach, że tak rzeknę, od ręki pisanych,—niepoślednie zajmuje miejsce, jako nowellista, choć co prawda, rozgłosu powiastki jego nie robią takiego, jak zasłużyły, z krzywdą autora... Któż temu winien, jeśli nie felietony owe; porywają masy, które i śmieją się do upadłego z dowcipów jego i przyklasnąć gotowe każdej myśli zacnej. Tom I pomieścił „Przygody Stasia,“ „Antek,“ „Powracająca Fala,‘ „Michałko“ i „Sieroce dole.“

Obszerniejszy rozbiór zostawiamy na później, szczerze zalecając te nowelle, odznaczające się zacną tendencyą i niepospolitym talentem.

M. R.

WYSTAWA PRZEMYSŁOWA

w pałacu Brühlowskim.

(Dokończenie).

Przemysł stolarski bardzo wykwintnie reprezentuje się na wystawie; firmy p. Gaszczyńskiego i Tarnowskiego rywalizują z sobą w rzeczach gustu i pomysłów nowych. Toaleta wyrobu pana Tarnowskiego, niezaprzeczenie ma pierwszeństwo nad innemi tego rodzaju okazami. Lustro w kształcie Psyche, zajmuje część środkową, a po obu stronach stopni wznoszą się dwa rzędy szufladek. Łóżko i szafa wyrobione również z drzewa orzechowego, na tle matowem, ozdoby politurowane—stanowią eleganckie umeblowanie sypialni.

Prawdziwym artyzmem odznacza się szafa biblioteczna pana Gaszczyńskiego, którego wyroby zajęły oddzielny pokoik; biurko i stół jadalny, rozsuwany praktycznym sposobem, mocne krzesło do stołowego pokoju, a eleganckie wyściełanie zwróciły naszą uwagę.

Lecz krzesła takie coraz więcej zastępują się meblami giętemi, które jako tańsze — przytem w trwałości nieustępujące tamtym, ogólne uznanie zyskały.

Dwie tu również firmy wystąpiły, znane zaszczytnie od lat 9: fabryka „Wojciechów,“ produkująca z własnych lasów materyał i p. Braun i Fischler, posiłkujący się materyałem zagranicznym.

Krzesełka wyplatane, fotele, kanapki, parawan, bujane krzesła, szezlong — oto okazy fabryki „Wojciechów“—lekkie, przyjemnie w oko wpadające, trwałe i tanie.

Obrót roczny fabryki blizko do 300,000 rubli dochodzi.

P. Fischler i Braun oprócz zwyczajnych, zaprodukowali więcej zbytkowne okazy, kryte atłasem vieil d'or i bordeaux, w cenie 900 i 500 rubli, co prawda trochę zawygórowanej, na bardzo skromne garniturki. Lecz tu praktyczność stanowi wyższość tych mebli nad zwyczajnemi wyrobami stolarskiemi, a to z tego powodu, że wszystkie części składowe są na śrubach, i w drodze zapakować się dają, nie ulegając tak łatwo zepsuciu.

Przechodzimy teraz do fortepianów. W dziale tym mamy tylko dwóch wystawców. Stara, dobrze znana firma Kralla i Seidler, zaszczycona już na kilku wystawach medalami, dała jeden fortepian o dźwięcznym tonie, wzorową robotą dobrze o naszym przemyśle w tym kierunku dający świadectwo.

Drugim wystawcą jest p. Kerntopf; fortepian i pianino z jego fabryki, elegancyą wykończenia i wewnętrznym mechanizmem—nie ustępują poprzednim. Obydwie te fabryki najwięcej zbytu mają w Cesarstwie, a dokładnością wyrobu, na pewno wyżej od zagranicznych stoją.

Pobieżnie tylko wspomnimy o wyrobach platerowanych, firmy Norblin i Braci Hennebergów, gustem i praktycznością się odznaczających, nadmieniając przytem, iż wyroby jubilerskie wcale nie są reprezentowane, a przejdziemy do okazów, przez różne szkoły przedstawionych, świadczących dobrze o postępie uczniów na drodze praktyczności.

Pierwsze tu miejsce zajmuje Szkoła Techniczna, przy drodze żelaznej Warsz.-Wiedeńskiej istniejąca. Rysunki, modele, wyroby rzemieślnicze, wykonane z niezmierną zręcznością, świadczą o wielkim postępie i o nadziejach na przyszłość, jakie ta szkoła urzeczywistnić może.

Szkoła rysunkowa, bezpłatna, przy „Muzeum Przemysłu,“ wystawiła wzory rysunkowe, modele z gipsu, — pocieszające dając objawy swej działalności.

Nieobliczone korzyści mogą wypłynąć z chętnego garnięcia się młodzieży do sztuki. Przemysł nie może obyć się bez artyzmu, a wykształcenie go w massach, musi oddziałać na gust w wyrobach. To też szkoła najwięcej technicznej części się poświęca.

Wyższość przemysłu francuzkiego nad innemi krajami, zależy głównie od smaku wykształconego; dobór barw, deseni w materyałach, gustowność rysunku w bronzach, porcelanie i wszelkich przedmiotach zbytku—czynią je więcej poszukiwanemi i więcej płatnemi. To też Muzeum Przemysłowe otwarciem klas rysunkowych bezpłatnych, wielce przysłużyło się krajowi.

Wychowańcy Instytutu „Moralnej poprawy dzieci,“ dostarczyli modeli dwóch ławek dla dzieci, które wykazują postępy od dotychczas używanych, potrzebują jednak udoskonalenia.

Szkoły rzemieślnicze również okazami swemi dobrze o postępie uczni i sumienności nauczycieli świadczą.

Roboty więźniów, choć zdradzające rękę niewprawną, zaznaczają jednak duży postęp; szafki stolarskie, krzesła gięte, trzewiki i różne drobne wyroby, dają dowody, iż więźniowie pracować się uczą, a praca najdzielniej do moralności prowadzi.

Sprzęty kuchenne są dwojakie na Wystawie; z fabryki p. Mintera wyroby blaszane w niezliczonej ilości i z fabryki p. Cybulskiego kamienne wyroby.

Fabryka p. Cybulskiego w Cmielowie, wyrabia oprócz tego porcelanę i fajans, po cenach praktycznych, i niedawno zaczęła produkować wykwintne okazy majolikowe, odznaczające się pięknością rysunku i kształtu.

Bursztyny braci Bernsztein z Ostrołęki, jako wyrób krajowy na poparcie zasługują.

Są to rzeczy dość estetycznie wykończone, nie odstraszające ceną wysoką; zauważyliśmy okazy surowego bursztynu z uwięzionemi w nich na wieki owadami.

Fotografie pp. Brandla i Mieczkowskiego rywalizują o lepsze, zaćmione pysznemi heliominiaturami Elli'ego.

Na zakończenie wspomnieć muszę o tem, że płeć piękną szczególnie interesuje, choć nie rada się do tego przyznać, to jest o kosmetykach.

„Warszawskie Laboratoryum Chemiczne“ p. Majewskiego, nagrodzone już kilkunastu medalami na wystawach krajowych i zagranicznych, przedstawiło osobną szafę z wytwornemi wyrobami swej fabrykacyi.

Zapachy perfum przedziwne. Wszelkie wody toaletowe nieustępują zagranicznym, a wonie łąk i pól naszych w nich przeważają.

„Woda Polska“ niezrównana, z zapachem świeżo skoszonego siana, lub kwiatów.

„Warsz. Lab. Chemiczne“ założone na wzór Societé hygienique w Paryżu, ma na celu unikanie szkodliwych przetworów w kosmetykach. Tyle pieniędzy idzie na te zbytkowne rzeczy zagranicę, obyć się bez nich trudno, bo próżność kobieca wielką gra zawsze w nas rolę, ale mając tak wzorowo wykonane mydła, perfumy, wody toaletowe i t. p. przedmioty pod ręką, należy wspomagać przemysł krajowy, zastępując niemi szkodliwe często kosmetyki zagraniczne—ratujące się... blagą.

Refraichiseur'y nowego pomysłu, wybornie usługi oddają, rozsiewając wokoło woń przyjemną;

słowem, cała ta gałęź przemysłu zjednywa sobie uznanie ogólne.

Znane z dobroci krople Amerykańskie od bólu zębów, p. H. Majewskiego i krople Russyana, zabezpieczające od bólu głowy — zachęcają cierpiących do ich wypróbowania.

Wystawa Przemysłowa kończy dni swego istnienia, a jej miejsce zajmą okazy sztuki, zastosowane do przemysłu.

Dział to nadzwyczaj zajmujący, z opisem pośpieszymy, jak tylko zainaugurowaną zostanie.

M. R.

TEATR.

W ostatnich czasach tak mało się pisze w łamach pism warszawskich o teatrze, jako o źródle artystycznych wrażeń, a tak wiele, jako o przedsiębiorstwie finansowem, tyle wydobyto w zapalczywej dyskusyi motywów i względów osobistych, tak się wojennie starły dwa wrogie stronnictwa Gwelfów i Gibellinów dzisiejszej dyrekcyi, że wśród tych krzyków, insynuacyi, obelg i oskarżeń, apelujących do władzy, trudno jest usposobić się, pisząc o teatrze, tak arkadyjsko, aby nie myśleć o niczem więcej, jak o sztuce, o dziele dramatycznem i jego wykonaniu. Trudne to, ale doprawdy przyjemne, zapomnieć na chwilę o „hecy,“ a upoić się tym „łagodnem szaleństwem,“ jak Horacy nazwał poezyę, której „domem przytułku“—jest teatr.

Tym razem oddech w atmosferze tego „szału“ będzie krzepiącym, czerstwym i głębokim, bo atmosferę wytwarza utwór rzeczywistej poetycznej wartości, posiadający, jak mało innych w nowszej literaturze naszej, tę właśnie pożądaną siłę przeniesienia wyobraźni w powietrze czystsze i świeższe szczerej poezyi, uwolnione od chorobliwych i wstrętnych miazmatów chwili społecznej, któremi przesiąka dziś prawie każdy utwor realny.

Mówimy tu o jednoaktowym dramacie Wład. Okońskiego: „*Helvia*,“ który obaczyliśmy poraz pierwszy d. 5 maja, na scenie teatru Rozmaitości.

Okoński, jako prawdziwy *poeta realny*, wskazał w tym utworze, podobnie jak w kilku innych („Antea,“ „Poddanka“ i t. p.), sposób wypowiadania uczuć i myśli tak realnych, że aż wiszą łzami na rzęsach dzisiejszej społeczności, że aż gniotą pierś każdego człowieka, umiejącego żyć niedolą i smutkiem powszechnym—w formie przedziwnie artystycznie osłaniającej każdą aluzyę do chwili i trzymającą umysł widza bez przerwy pod horyzontem idei i namiętności niemających ani określonego czasu, ani określonej przestrzeni, bo rodzących się i znikających wraz z duszą ludzką, czyli z tem, co w historyi świata jest czynnikiem prawdziwie i jedynie chyba—nieśmiertelnym.

Helvia jest młodą patrycyuszką rzymską, która obaczyła wśród tryumfalnego wjazdu—Cezara i zakochała się w nim, — nie w łysinie i kabłąkowatej budowie nieponętnego ciała, ale w tej glory tryumfatora, w tym uroku zwycięztw, w tym powabie silnego ducha, którem błysnął jej Cezar. Że pogromca Gallii jest politycznym kuglarzem, że żądza samowładzy ukrywa się chytrze a kunsztownie w fałdach tej bohaterskiej draperyi, którą się umie okrywać, jako nieporównany artysta publicznej areny, tego niewie, to młode, egzaltowane dziewczę rzymskie, które wyssało ze krwi przodków cześć dla wszelkiego heroizmu i wszelkiej wielkości, i cześć tę oddaje mężowi, co wedle szlachetnego złudzenia jej uosabia całą ową historyczną cnotę — *virtus* — rzymską, której siła etyczna była najsilniejszym i jedynym może skutecznym cementem państwa, opartego na zasadzie bezprawia i „legalnej“ grabieży.

Śliczną jest właśnie ta Helvia dlatego, że tak szlachetnie jest naiwną, że źródło jej egzaltacyi miłosnej tryska właśnie ze szczytnej, we krwi rodu swego wyssanej, tak typowo rzymskiej czci dla wielkości ducha i charakteru.

Tę poetyczną gazę słodkich iluzyi zdzierają jej pokolei matka Kryspina, kochanek Licyniusz i brat Scypio. Z odkryć ich wypływa, że Cezar jest wrogiem wolności rzymskiej, despotą, obłudnikiem i rozpustnikiem, — że miodowy frazes, który szepnął do ucha oszołomionej Helvii, jest istotnie tylko frazesem, który powtarza do ucha każdej kobiecie, aby ją złowić na wędkę. Szereg tych gorżkich, rozdzierających rozczarowań dla dziewczyny, która nareszcie, kiedy się dowiaduje, że Cezar wypędza gdzieś „za dziesiątą górę,“ do Tracyi, Scypiona i Licyniusza po to tylko, aby ułatwić sobie przystęp do Helvii i rzucić ją na łoże krótkiej rozkoszy, wygniecione ciałami mnogich poprzedniczek, zrzuca z siebie urok romantycznego omamienia i z nieskończoną boleścią, w której zdaje się boleć ktoś więcej, niż Helvia, bo cały lud rzymski, zamyka jedyny akt dramatu gorzką, jak piołun, apostrofą do piastunki swej, Mirry: „Wiesz teraz, jak płaci za miłość Cezar!..“

Widzimy, że „Helvia“ Okońskiego nie jest dramatem. Nie patrzymy tu na rozwój uczucia, na jego powikłania się i przejawy w akcyi, na czynne zetknięcie się namiętności z żywiołami innego porządku, niemamy nawet kochanka na scenie, a że Helvia nie może być z natury swej i przeznaczenia w budowie utworu bohaterką, więc i niemamy właściwego bohatera. Poeta przedstawia tylko pewien proces psychologiczny w Helvii, dokonywający się pod wpływem tego, *co słyszy*, a czemu nie umie przeciwstawić nic więcej, prócz rezygnacyi. Gdyby przeciwstawiła coś więcej, gdyby zdobyła się na energię czynu, na jakąś twórczą rolę w akcyi, wyobrażającej pewien moment dziejów rzymskich, nie wystarczyłby poecie na odmalowanie urosłych ztąd perypetyi jedyny akt, w którym pragnął zamknąć całość. Ten akt jest niezmiernie poetycznym obrazem, jest poematem dramatycznym o nieprzepartej sile wpływu na uczucie i duszę widza, co też usprawiedliwia go zupełnie na scenie.

Ktoś pytał, czy Helvia napisaną jest w stylu rzymskim? Zapewne, że innym językiem pisał Sallustyusz i Tacyt, a w dykcyi poematu nie dostrzegliśmy nic takowego, coby nie licowało z psychologicznym nastrojem świata klasycznego. Kryspina, Licyniusz i Scypio — bezwarunkowo należą do starożytności duchem i formą—Helvia przedstawiała najwięcej trudności dla poety, bo najwięcej czuje i najwięcej mówi. Sądzimy jednak, że i ją udało się autorowi złożyć z pierwiastków, które znała starożytność. Uniesienie młodej i szlachetnej rzymianki dla chwały i bohaterstwa, jest uniesieniem rdzennie klasycznem, którego potęgi i prawdy nie znają już zapewne kobiety dzisiejsze, w tej pierwotnej, elementarnej sile i prostocie. A uniesienie to prowadzi do uczucia, w którem niema łzawych dźwięków liryzmu dzisiejszego i owszem—dyszy w niem namiętność, ów typowy wyraz miłości klasycznej. To pełne wdzięku w swej egzaltacyi dziewczę, mogłoby jutro wybornie odegrać rolę bachantki w zmysłowej orgii, którąby Cezar wyprawił, a odegrałoby ją zupełnie w stylu kurtyzan dworskich z epoki pierwszych Cesarzów. Za wiele jest zmysłowego wulkanu w Helvii, aby ława jego mogła nie wylać się tem łożyskiem, za otrzymaną podnietą. Bardzo to właśnie szczęśliwe zrozumienie kobiety rzymskiej z owej epoki, która brzemienną już była w pierwiastki zrodzonej niebawem Messaliny.

Panna Deryng gra rolę Helvii wedle dwojakiego pojęcia: w pierwszych kilku przedstawieniach starała się przeważnie o uwydatnienie zmysłowej namiętności; kreacya jej była tu pomyślaną w stylu surowego antyku i porywała siłą wybuchów, nie wszędzie jednak wycieniowana w szczegółach spokojniejszych. Później artystka, pragnąc zapewne złożyć dowód wielostronności swego bogatego talentu, zmieniła ton zasadniczy charakteru Helvii, modyfikując gwałtowność lwicy, i podkładając wybuchom jej tło promienniejsze duszy dziewczęcej, egzaltacyą porwanej, ale w instynktach swej natury—czystej i nieskażonej. Pierwsza Helvia wydobywa się może plastyczniej siłą temperamentu, druga jest o wiele subtelniejszą w grze kontrastów i wysoce artystycznem ich zlaniu w postać o rzadkim wdzięku i szlachetności rysunku.

P. Kotarbiński rolą Licyniusza zaznaczył niemały postęp w owładnięciu pięknych zasobów głosu, dykcyi i figury; postać republikanina rzymskiego miała właściwy styl i dawała wrażenie prawdy. Kilka szczerze odczutych i artystycznie obmyślanych momentów—wywarło przejmujące wrażenie.

P. Prażmowski napoił szlachetnym i sympatycznym humorem ładną postać politycznego satyryka, Scypiona, a pani Rakiewiczowa z należytą siłą wygłasza patetyczną tyradę matki Kryspiny.

W ogóle przedstawienie „Helvii“ policzyć należy do wzorowych.

Nie zawsze robi się przysługę autorowi, wprowadzając jego sztukę na scenę. Pierwsza scena krajowa ma wprawdzie moralny obowiązek wystawiania sztuk wszystkich celniejszych autorów krajowych, wszakże nikt nie może odmówić jej prawa uchylania się od obowiązku przyjęcia każdej sztuki. Niepodobna odmówić tym, którzy stanowią o repertoarze, prawa sądu w każdym poszczególnym wypadku. To też nikt bezstronnie i bezinteresownie w rzecz wnikający, nie byłby za złe poczytał dyrekcyi, gdyby powstrzymała się od wystawienia jednoaktowej krotochwili Józefa Blizińskiego „Mośkowe swaty.“ Wprawdzie nikt ceniący choćby najwyżej talent autora: „Pana Damazego“ i kilku takich cacek artystycznych, jak „Mąż od biedy“ i „Marcowy kawaler,“ nie uroni czci swojej dla pisarza, który tak rdzennie zrozumiał ducha obyczaju rodzimego, i z taką prawdą maluje swojskie charaktery, przekonawszy się, że ten sam Bliziński może napisać rzecz o wiele słabszą, jak te właśnie „Mośkowe swaty,“—to w każdym razie, ukrywając choćby „pod korcem“ bluetkę, w której „*dormitavit Homerus*,“ oszczędziłoby się autorowi i publiczności drobnego, acz przejściowego odczarowania, a krytyce niemiłej konieczności regestrowania małej porażki. „Mośkowe swaty“ mają niewątpliwie te wszystkie zalety pióra, które podniosły u nas imię Bliżińskiego na piedestał, opróżniony od czasu Fredry; żadna wszakże z tych zalet nie potęguje się tu do takiego stopnia, któryby przekonywał, że Bliziński umie wypowiedzieć to wszystko, co mówią inni, lepiej, bystrzej, głębiej i charakterystyczniej. W obrazku tym, przedstawiającym skutki krygowania się dorobkiewiczów na wielkich panów, skutki fałszywej roli, jaką w społeczeństwie grają ludzie wychodzący poza właściwą sferę swego przeznaczenia i towarzyskiej pozycyi, wskazanej miarą zdobytej intelligencyi i odebranego wychowania, ci Kiksowie, przerobieni na Kiksowiczów, ta oberża zamieniona w obdłużoną wioskę i obywatelski tytuł i te wszystkie humorystyczne konsekwencye nieopatrznego gospodarstwa, kończącego tem, że faktor szuka zięcia dla córki—to szereg postaci, jak fotografia, skopiowanych i szereg prawd społecznych, jak pacierz, świętych.

Myśl przeto komedyi Bliźińskiego, chociaż nieco pochylona ku farsie, ma swą niezaprzeczoną żywotność i trafia w jedno z tych zjawisk patologicznych naszego społeczeństwa, które nie mogą nie boleć każdego, kto współczuje z chorobami organizmu zbiorowego. Ale wykonanie planu — oto co właśnie tym razem nie powiodło się Blizińskiemu. Postacie skreślone wedle zużytego już aż nazbyt szablonu nie dosyć w charakterystyce swej pogłębione, sytuacya w ogóle przesadna i ekscentryczna aż do karykaturalności, brak oryginalnych szczegółów w poprowadzeniu akcyi, pewna jałowość dowcipu — to wszystko usuwa „Mośkowe swaty“ z pierwszej linii wytworów tak świetnego gdzieindziej talentu Bliźińskiego i mieści je gdzieś... na szarym końcu.

Do niepowodzenia sztuki przyczyniła się może i niewystarczająca na zapewnienie autorowi wygranej obsada sztuki. P. Holzman nie mógł podołać roli Karpika — nie umiał w niej stać się ani typowym, ani zajmującym; a figura to z pierwszego planu, i jeżeli jest ckliwie graną, to rozpościera w ogóle ckliwą atmosferę w sztuce. Pan

Ostrowski w rolę Kiksowicza włożył wiele szczegółów o dosadnej sile komicznej, ale kreacya cała niema piętna świeżości, a wartość jej artystyczną psuje tu i owdzie przesada. Toż samo powtórzyć można o pani Ostrowskiej w roli Kiksowiczowej. Humor p. Waliszewskiego niema przekonywającej werwy; pomimo więc intelligentnego opracowania postaci Mośka, nie ożywił on także sztuki, podobnie jak i p. Szymanowski, który roli dosyć charakterystycznej tym razem nie nadał żadnej wyrazistszej barwy.

Ostatnią nowością Teatru Małego w świeżo ubiegłym sezonie była komedya pięcioaktowa pani Samolińskiej (z Chicago): „Trzy Flory.“ Jest to właściwie farsa, należąca do tych utworów imaginacyi, które „kręcą bicz z piasku“ i z jednego „nic“ budują labirynt sytuacyi, komeraży, nieporozumień, pomyłek, mistyfikacyi. W takich utworach nie wolno pytać, czy to wszystko w ten sposób dziać się mogło — należy przyjąć kaprys dobrego humoru *cum beneficio inventarii*, i uwierzyć, że to się działo — naturalnie w komedyi.

Sztuka w takim razie nie podąża za żadnym rezultatem etycznym, niczego nie chce dowieść, od niczego odstraszyć, ku niczemu zagrzać — pragnie tylko śmiechu, śmiechu i jeszcze raz śmiechu... Zręczność roboty i pozory naturalnego wywijania się kłębka Aryadny z chaosu i plątaniny — oto wszystko, czego od farsy tego stylu i kroju żądać można. Farsa pani Samolińskiej warunkom tym czyni zadość. Bogate, ożywione, pomysłowe *imbroglio* nie dopuszcza zastanowienia się nad prawdopodobieństwem sytuacyi wywiązanych z nieprawdopodobnej pomyłki kawalera, oświadczającego się na balu po pijanemu pannie, której nie zna, w mniemaniu, iż jestto ukochana przezeń osoba.

Nie wiemy, o ile talent pani Samolińskiej mamy prawo zaliczyć do naszej literatury; podobno bowiem „Trzy Flory“ napisane zostały po angielsku przez autorkę nie władającą polskim językiem. Styl komedyi nie jest też naszym, swojskim, przypomina raczej szkołę humoru angielskiego, a zwłaszcza postać famulusa jest wręcz Dickensowską. Jeżeli jednak polskie autorstwo amerykańskiej komedyopisarki jest szczerem i oryginalnem, natenczas cieszyć się wypada z siły literackiej, która nam przybyła. Farsa ma swoje prawo bytu w literaturze, a pani Samolińska włada tą formą z wielką swobodą, pomysłowością i humorem.

Przedstawienie „Trzech Flor“ należy do najcelniejszych, jakie widzieliśmy w Teatrze Małym. P. Stromfeld i pani Borkowska, w rolach małżonków Ukropów, a p. Sikorski z panną Micińską, jako rodzice zdradzonej napozór i rozpaczającej Flory Trzcińskiej, stanowią dwie pary krzyżujących się kontrastów w charakterach, typowo upostaciowane i z nieposlednią werwą komiczną na jednolitem tle przeprowadzone. Panna Czaki w roli trzpiotowatej i gadatliwej Flory Ukrop złożyła dowód pracy i postępu: poraz pierwszy widzieliśmy ją tak naturalną, tak szczerze ożywioną i tak dowcipną. P. Grubiński stworzył nader sympatyczną postać kochanka dwóch Flor; gra jego lekka i dystyngowana. P. Galasiewicz jako famulus — wyborny...

Debiutująca w tej sztuce panna Pankiewicz w roli drugiej Flory—pozwala spodziewać się, iż w rolach poważniejszego, dramatycznego pokroju może mieć przyszłość na scenie. Gra jej bowiem, chociaż krępowana brakiem rutyny i odwagi, zdradzała intelligentne odczucie roli, ruchy i gesty mają pewien wrodzony, szlachetny pokrój i estetyczną linię, powierzchowność piękna i okazała, głos silny i wydatny, trochę tylko niewyraźny i ciężki...

Bronisław Zawadzki.

SEN I JEGO ZJAWISKA.

Według Karola Gerharda,

streścił **Br. Z...**

(Ciąg dalszy).

Przez takie określenie istoty snu nawiązaliśmy nierozerwalny związek pomiędzy światem sennych marzeń a czuwania. Sen i czuwanie — to przedewszystkiem należy stwierdzić — nie stanowią dwóch różnych a tylko rozmaicie ustopniowane stany świadomości. „Sen, powiada Strümpell—nie jest czemś powstającem oddzielnie i samorodnie w duszy, nie jest czemś odosobnionem i w osobnem źródle byt swój czerpiącem. Od treści czuwającej świadomości nie dzieli go przepaść, którąby dusza przekraczając wchodziła w inną sferę, albo z poza której obca jakaś siła groziłaby jej pochłonięciem. Pomiędzy snem i stanem czuwania zachodzi trwały, ścisły związek” (*Die Natur und Enstehung der Träume*). Obydwa stany są jednorodnemi objawami bytu jednej i tejże samej duszy; różni je tylko odmienny stopień świadomości. Dowodem na to liczne zjawiska dostrzegane w okresie przejściowym z jednego stanu w drugi. Któż nie zna z własnego doświadczenia tych snów na jawie, tego sennego rozmarzenia, w które czujemy się pogrążeni częstokroć przy zupełnej przytomności umysłu, w których najdziwaczniejsze wyobrażenia z głębi duszy wypływają na powierzchnię świadomości i odrywają nas od przedmiotu rozmyślania, w których myśli nasze błąkają się rozpierzchłe na wszystkie strony i przymusowo rzucają nas w jakieś niespodziewane kręgi dziwnych wyobrażeń? A owoż rozmarzenie, które owłada nami przed zaśnięciem, w stanie senności? Uczestniczymy jeszcze w wesołej i ożywionej zabawie, a już poczynają nam się błąkać przed okiem duszy jakieś błędne, powikłane, pstrokate obrazy; odpowiadamy jeszcze na zadane pytanie, ale bez związku, wyrywając odpowiedź z innej grupy wyobrażeń; świadomość nasza wątleje z każdą chwilą, aż nareszcie opuszczają nas resztki jej i zapadamy w głębokie uśpienie. Stan taki ma nietylko niezmierne podobieństwo ze zjawiskami sennemi, ale rzeczywiście wiąże się z niemi najściślejszem pokrewieństwem, wspólną ma z niemi naturę i źródło, tak, że częstokroć zaledwo rozróżnić możemy, gdzie kończy się czuwanie a sen zaczyna.

Dlatego obydwa stany duszy podlegają tymże samym prawom. Powstawanie i przesuwanie się grup wyobrażeń podczas snu odbywa się tą samą metodą i da się tymże samym podporządkować prawidłom, które kierują powstawaniem wyobrażeń w dobie czuwania, tylko że te ostatnie podlegają regulującej kontroli świadomości, która w czasie snu nie gra żadnej roli. Ta to właśnie okoliczność, ten brak świadomości podczas snu, stanowi tak olbrzymią różnicę pomiędzy obu stanami duszy, zresztą jednorodnemi.

Brakiem świadomości tłómaczą się właśnie owe wszystkie zjawiska, które życiu sennemu nadają charakter tak wyjątkowy i dziwny. Świadomość własnego „ja” jest najwyżej rozwiniętą formą świadomości ogólnej, myślący podmiot staje się tu zarazem przedmiotem myślenia, oddaje się kontemplacyi czysto indywidualnej i cały obszar swej ogólnej świadomości wiąże z własną jednostką. Wszystkie swe wyobrażenia, uczucia, popędy woli, w ogóle całą treść swoję wewnętrzną, obejmuje dusza w stanie owej świadomości na swoję wyłączną własność, wciela je w swą istotę, przerabia we fazy własnego bytu, w wirze i metamorfozach rozlicznych zjawisk uważając siebie za jedyną siłę trwałą, za jedynego pana i właściciela całego obszaru wyobrażeń. Otóż w śnie, jak powiedzieliśmy wyżej, ta świadomość ogólna duszy nie umarza się, tylko słabnie do tego stopnia, iż nie osięga tej swojej, najwyżej rozwiniętej formy, którą nazwaliśmy świadomością własnego „ja.“ Każdy niewątpliwie z własnego doświadczenia zna takie sny, w których utracił wszelkie poczucie swej indywidualności; obrazy senne przepływają naówczas, jako rzeczy obce, obok nas: przypatrujemy im się, jako widowisku scenicznemu, które najzupełniej nas nie obchodzi i nie dotyczy. Częstokroć zdarza się, że tylko część osnowy snu wchodzi w związek z naszem „ja,“ inna nie. Tak np. wytłómaczyć można znany sen van Goensa: Wydało mu się we śnie, iż jest w szkole i podczas nauki napróżno usiłuje odpowiedzieć na zadane mu przez nauczyciela pytanie; na złość i wstyd jego żądaną odpowiedź dał nareszcie siedzący obok niego koležka. Śniący czuł się wyraźnie upokorzonym i gniewnym na samego siebie, iż spotkała go taka sromota. Podobne sny, w których śniący łamie niejako własną osobę na dwie różne połowy, z których jedna przyjmuje nauki i wyrzuty od drugiej, zdarzają się nader często. W takich wypadkach świadomość własnego „ja“ rozwija się tylko połowicznie, tylko jedna część osnowy sennej wchodzi w stosunek z osobą śpiącego, podczas gdy druga zachowuje się w obec niego obojętnie, jako przedmiot mu obcy. W stanie czuwania van Goens znalazłby naturalnie właściwą odpowiedź na pytanie mu wrzekomo zadane, ponieważ tak pytanie jak i odpowiedź, były tu produktem wyobraźni jednego i tegoż samego człowieka.

Brakiem świadomości tłómaczą się, jak już nadmieniliśmy, wszystkie dziwaczne wyobrażenia, które życiu sennemu nadają tak odrębny koloryt. Jego następstwem zwłaszcza jest fantastyczny ów, mozajkowy brak ładu i związku, który cechuje większość snów naszych. W stanie czuwania związek wyobrażeń naszych stoi pod ścisłą kontrolą świadomości; takowa dzierży, jako siła logiczna, ster i wędzidło wyobrażeń, każde z nich, wkraczając w zakres świadomości, otrzymuje z jej zlecenia przeznaczone sobie przez nią miejsce, bądźto wcielone do grupy wyobrażeń, pokrewnych mu treścią, bądźto przez mający chwilową przewagę w dziedzinie świadomości kompleks wyobrażeń stłumione i w niepamięć puszczone. W czasie snu, podobnie jak w stanie czuwania, wchodzą w obszar świadomości najróżnorodniejsze wyobrażenia, bądźto skutkiem podniet zewnętrznych, bądź wewnętrznych; przyczem nie bez wpływu pozostaje określony powyżej nierówny stopień znużenia rozmaitych części systemu nerwowego. Ponieważ jednak brakuje tu świadomości, a zatem regulatora wyobrażeń, bieg tychże odbywa się w sposób najzupełniej automatyczny; każde z nowo wpływających wyobrażeń łączy się z temi, które podówczas wydostały się na powierzchnię świadomości, chociażby takowe należały do zupełnie innego porządku myśli, i w ten sposób powstają owe fantastyczne i pozbawione zdrowego sensu obrazy senne, które po ocknięciu tak dziwnemi nam się wydają.

(d. c. n.)

WIERNA DO ŚMIERCI.

NOWELLA

Pawła Heisego.

Przekład

Salomei S....

(Ciąg dalszy).

Pogrążona w tych smutnych myślach, stała jeszcze przed biurkiem, gdy weszła Dorota, podając jej paczkę pism, przyniesionych przez posłańca z Towarzystwa dobroczynności.

— Jeżeli pani zechce przejrzeć zaraz te pisma, — to posłaniec chwilkę zaczeka, musi bowiem ponieść je jeszcze do kilku pań, gdyż pleban wyznaczył posiedzenie na pojutrze.

Karolina rzuciła roztargnione spojrzenie na papier. Mieściła się tam niezmierna ilość świadectw, listów, próśb o pomoc; musiała ona sprawdzić to wszystko, chcąc spełnić sumiennie obowiązki przedstawicielki filantropijnego stowarzyszenia.

— Połóż papiery na stole, Doroto, — wyrzekła, — niechaj przyjdzie po nie człowiek popołudniu. Mam inny interes również naglący.

Stara potrząsając cicho głową, spełniła rozkaz pani. Nie zdarzyło się dotąd, by jakikolwiek interes był bardziej naglącym dla jej pani, niż sprawy dobroczynne.

Karolina chodziła przez kwadrans po pokoju. Nagle powzięła silne postanowienie; stanęła przed portretem nieszczęśliwego swego męża, spoglądającego na nią z poza złotych ram, z taką ufnością, z takiem zadowoleniem, jak gdyby nigdy żadna chmurka nie była osiadła na jego gładkiem czole.

Gdy blada kobieta spojrzała na niego, zdawało się, iż jej usta się poruszają, chcąc powtórzyć przysięgę, iż nie zdradzi nigdy tego, co zatruło ostatnie chwile jego życia.

Poczem wzięła machinalnie ze stołu papiery, przeniosła je do biurka, i schowała do tej samej szuflady, do której włożyła szybko list w chwili nadejścia służącej. Zamknęła starannie szufladę, chowając kluczyk do woreczka od pieniędzy. Włożywszy na się płaszczyk i kapelusz, — wyszła.

Gdy tak szybko przechodziła przez wązkie, mgłą pokryte ulice, nie oglądając się ni wprawo, ni w lewo, trudno było domyślić się po tej rezolutnej kobiecie, jak uciążliwą była dla niej ta droga.

Jakkolwiek rzadko widywała ukochaną jej syna, obraz jej wszakże zachowała głęboko w sercu.

Matkę Cecylii widywała częściej, zasiadając z nią razem w Stowarzyszeniu dla biednych.

Pomimo to, uczuła cichy, nieprzezwyciężony wstręt do tej kobiety, posiadającej przy pewnej prostoduszności, wszelkie cechy i przesądy parafianki. Jako żona jednego z najbogatszych kupców, uważała się w obowiązku imponowania drugim.

Karolina zaś, pochodząc z jednej z najzacniejszych rodzin, wychowana w mieście, obracając się w najlepszych kołach towarzyskich, zawahała się na myśl, iż przed tą dumną, nielitościwą kobietą ma stanąć i bronić swej czci i niewinności, bez żadnych dowodów i świadków!

W miarę, jak się zbliżała ku wspaniałemu pałacowi, położonemu na rynku, musiała zebrać całą odwagę, by się nie cofnąć.

— Oh, Boże! O, mój Boże!.. — wzdychała podczas stąpania po dywanami wyłożonych schodach.

Wprowadzono ją do salonu, tam miała chwilę czasu do skupienia ducha. Przeglądając wspaniałe meble, pokryte ciężką materyą, bez odrobiny gustu, nabrała prawdziwej, wrodzonej dumy, która każe pogardzać pozorami.

— Wszak nie przychodzę prosić o łaskę, raczej ja czynię zaszczyt gospodyni domu tego, gdy jej jedynego mego syna chcę dać za zięcia.

Tak mówiła do siebie.

Ukazała się nareszcie matka Cecylii w bogatym rannym stroju, widocznie wzruszona, i niejako w zakłopotaniu, jak właśnie przywitać osobę, poraz pierwszy, i o tak wczesnej godzinie ją odwiedzającą. Uważała za właściwe odrzucić wszelkie względy etykiety, i zaczęła wprost od stosunku koleżeńskiego w stowarzyszeniu Dobroczynności.

— Przychodzę w osobistym interesie do pani, — podchwyciła szybko Karolina, w tonie przerywającym wszelkie wybiegi. Syn mój był wczoraj u państwa, chcąc usłyszeć wyrok o swym losie...

— Syn pani jest to dzielny człowiek,—przerwała matka Cecylii, — nie uwierzy pani, jak mój mąż poważa go; ja sama, jakkolwiek Cecylia mogła napozór zrobić partyę o wiele świetniejszą, — ja sama jestem w nim zakochaną... i gdyby nie jeden wzgląd... ale proszę, racz pani usiąść... jest tu nieco zimno... salon tak trudno ogrzać... spróbujemy go teraz ogrzewać za pomocą ruskiego pieca.... proszę usilnie...

— Powiem pani w krótkości,—odpowiedziała Karolina, — i... wybacz pani... jeżeli w domu, w którym został przeciwko mojemu honorowi wymierzony tak ciężki zarzut, nie będę się uważała za gościa pani, dopóki plama ta nie zostanie ze mnie zdjętą. Powiedziałam mojemu synowi, gdy mi o zdaniu ciotki waszej, i o względach, jakie państwo dla tej bogatej krewnej macie, opowiadał...

— Ależ, proszę pani... i cóż my możemy zrobić?.. Od tego zależy wiele... pominąwszy względy materyalne... stosunek pomiędzy jedyną siostrą męża, a bratową... zresztą, syn pani był dziś rano u mego męża i mówił mi o rozmowie jego z panią tej nocy, i o tem, coś mu wyjawiła,.. przyznać muszę...

— Syn mój?.. A więc on był tu?!. Prosiłam go tak...

— Chciał widocznie oszczędzić pani przykrości... Mój Boże!.. pani żyjesz tak w odosobnieniu... unikasz ludzi... a gdy już kogo odwiedzasz... to chyba chorego lub biednego... Syn pani, ubóstwia cię, wierzaj mi...

— Zochciej mi pani powiedzieć, o czem syn mój z Wami rozmawiał?..

— Powiedział to wszystko, czegośmy się łatwo domyślić mogli; mówił, iż pani całą tę sprawę wyjaśniasz jako niegodziwą potwarz, iż niewolno ci się wytłumaczyć z pobudek do pojedynku, do którego się pani jednak nie przyczyniła w najmniejszej nawet części...

Biedny Hubert!.. On jest tak dobry!.. Był jeszcze pod wpływem tej wzruszającej, nocnej rozmowy... Każda matka mogłaby się czuć dumną, mając tak dobrego syna, a co za serce, co za światły rozum, — zrobi on jeszcze świetną karyerę, i będzie tak szczęśliwym, iż przeboli łatwo... zawiedzione nadzieje, młodzieńczego serca!..

Mówiła tak gwałtownie, iż jej okrągła, niegdyś zapewne ładna twarz, poczerwieniała niezmiernie. Poczem umilkła; zakłopotana nieco, poczęła zmiatać pyłek z bogatej serwety, leżącej na stole, przy którym stały obiedwie kobiety.

Nastała uroczysta cisza. Wtem dał się słyszeć głos kobiety małej, o białych włosach; głos tym razem brzmiał nieco słabo, chwiejnie, jak gdyby jej przyszło z trudnością zapanować nad wzruszeniem.

— Masz pani słuszność... Spodziewam się, iż taki młodzieniec, jak mój syn, ma przed sobą świetną przyszłość... Nie powinien on się lękać, by gdziekolwiekbądź był źle przyjętym... Z czasem, przezwycięży on nawet tak głębokie uczucie, jakie żywi dla córki pani...

Lecz czy sądzisz tak samo i o Cecylii... Nie znam jej dobrze, lecz polegając na pierwszem wrażeniu, zdaje mi się, iż ona należy do rzadkich wprawdzie w naszej płci, lecz napotykających się jeszcze istot, oddających raz jeden tylko serce, a gdy doznają zawodu lub rozczarowania, nie czują się już nigdy szczęśliwemi, zawierając nawet najświetniejszy związek małżeński...

— Tak jest,—wyrzekła matka Cecylii, oskubując parę listków ze sztucznego bukietu, tkwiącego w kryształowym wazonie. — Cecylia jest niezwykłem dzieckiem, rzadkiem stworzeniem, jak mój mąż zazwyczaj wyraża się o niej. Pomimo to wszystko... mój Boże, są w życiu wymagania... pani pojmujesz... jestto obowiązkiem rodziców, chłodniej i rozważniej o rzeczach sądzących... nie mówię, abyśmy mieli wątpić o prawdziwości tego, co syn pani sam wyznał...

Zająknęła się. Była tem więcej roztargnioną, iż czuła ciche oczy małej kobiety bezustannie w siebie utkwione.

— Gdyby to tylko zależało od nas... — dodała.

— Czy syn mój powiedział pani, iż jestem gotową potwierdzić prawdę słów moich, poraz pierwszy tej nocy wypowiedzianych, — przysięgą?..

— Nie wiem istotnie, czy wspominał o tem mężowi mojemu.

Ale nacóżby się to zdało, kochana pani?.. Nie chodzi o to, czy my wierzymy... Weronika musi być przekonaną... gdy sobie raz nabiła głowę tą waryacką bajką... Wyrzekłaby się ona rodziny, gdyby panią przy uroczystości weselnej, lub przy innej okoliczności u nas zastała.

Jakąkolwiek jest ta ciotka, nie można wszakże zabraniać wstępu do domu naszego, jedynej siostrze męża! Moralne przekonanie nasze o zupełnej niewinności pani, nie uspokoi jej wcale— tak twierdzi mój mąż—i gdyby nawet wykonała przysięgę, mój Boże, jak często zdarza się, że matka, chcąc uszczęśliwić jedyne swe dziecko, popełnia ciężki, śmiertelny grzech, ucieka się do kłamstwa, nie bacząc na zbawienie swej duszy. Mąż mój powiada, iż mniej więcej tego rodzaju byłyby przypuszczenia Weroniki...

— Proszę nie zadawać sobie żadnego gwałtu!.. — wybuchnęła nagle Karolina, zaciskając podczas ostatniej rozmowy coraz bardziej usta. Po tem wszystkiem, com słyszała, muszę wyznać niestety, że mi już wcale nie zależy na pani moralnem przekonaniu. Proszę mi tylko odpowiedzieć jeszcze na jedno pytanie: gdybym była nie przeżyła śmierci męża mego, lub też nie miała zaszczytu poznania się z domem pani, albo wreszcie żyła w oddaleniu, w znacznej ztąd odległości, — przez co bratowa pani nie byłaby nigdy narażona na bliższe zetknięcie się zemną, czyż zostałaby wówczas usunięta przeszkoda w połączeniu się dzieci naszych?...

Okrągłe oczy kupcowej zwróciły się tym razem badawczo na gościa.

— Cóż pani chcesz przez to powiedzieć?.. Pocóż mówić o rzeczach niemożebnych... gdy tymczasem...

— Prawda,—przerwała Karolina,—masz pani słuszność, tymczasem żyję jeszcze...

Ponieważ już wiele, niestety, przeniosłam w życiu, przeżyję zapewne i to świeże dla mnie *wrażenie*... Zresztą, czas przynosi radę... Wybacz pani, iż jej tyle czasu zabrałam, o tak niewłaściwej porze... Żegnam panią!..

Skłoniwszy się bardziej pokornie, niż grzecznie, wyszła z pokoju, zanim zdziwiona gospodyni domu miała czas ją pożegnać.

Jakkolwiek Karolina chciała uciekać z domu, w którym doznała tyle upokorzenia i przykrości, zmuszoną jednak była zatrzymać się w wspaniałym przedsionku, i oprzeć się o mahoniową krawędź drzwi; wzburzona bowiem krew uderzyła gwałtownie do skroni, a nagły zawrót głowy o mało jej nie pozbawił zmysłów...

Trwało to wszakże przez chwilę. Myśl, że gdyby ją tu znaleziono zemdloną, posądzonoby ją o słabość charakteru, dodała jej sił i odwagi.

Zanim jednak zupełnie oprzytomniała, uczuła zarzucone na siebie dwa wątłe ramiona, pociągające ją do najbliższych drzwi w przedsionku.

W głębokiem wzruszeniu poznała młodą, rumieńcem oblaną twarz dziewczęcia, o zmieszanym wzroku, troskliwie się do niej uśmiechającego.

— To ty jesteś, Cecylio?—wyrzekła cicho,— dziękuję ci, dziecię, że cię mogę widzieć raz jeszcze...

Mówiąc to, przyglądała się ciekawie twarzy dziewczęcia, zdawała się ją studyować, jak gdyby ją widziała poraz pierwszy, a spostrzegłszy, iż niema w niej ani jednego rysu, podobnego do jej matki, odetchnęła swobodniej, niby uwolniona od dręczącej ją obawy...

— O, droga matko,—wyszeptało dziewczę,— pójdź do mego pokoju... proszę, proszę... mam wiele do powiedzenia... Zgaisz mi to może... ale... ja wszystko słyszałam, o czem z mamą moją mówiłaś przed chwilą... drzwi salonu były otwarte... nie uwierzysz jak jestem zmartwiona, ale nieprawda... to jest niepodbieństwem... cóż nas wreszcie zła ciotka obchodzić może?..

O pieniądzach jej nie myślałam nigdy, o niej samej zaś, o tyle tylko, o ile mi nakazywał obowiązek i rozkaz matki mojej... ciebie, najdroższa mamo, pokochałam od pierwszej chwili poznania cię, ale wiesz także...

— Kochana córko, — przerwała matka, podczas gdy dziewczyna roniąc gorące łzy, tuliła się do jej serca, — musisz równie jak ja uzbroić się w siły i odwagę.

Tutaj pozostać dłużej nie mogę. Bądź dobrej myśli, zmieni się jeszcze wszystko na lepsze... Przyrzecz mi tylko, iż będziesz zawsze tak samo kochała Huberta, a zobaczysz, że on okaże się godnym twej miłości. Daj mi na to rękę twoją... tak, a teraz niechaj uściskam cię jeszcze raz jeden i po macierzyńsku pobłogosławię!..

Szmer dający się słyszeć na schodach, przerwał ich czułe uściski i pożegnania.

Po chwili widziano małą kobietę zstępującą cichym, lecz pewnym krokiem ze schodów i otwierającą silną ręką drzwi, nie czekając pomocy nadbiegającego odźwiernego...

Pół godziny drogi od miasta, blisko wioski otoczonej laskiem, stał wpośród owocowo-warzywnego ogrodu, mały domek jednopiętrowy, cała wartość owej posiadłości, kupionej przed szesnastu laty przez Karolinę, gdy wróciła z miasta rodzinnego.

Tu żyła ona w największem odosobnieniu, dopóki syn jej nie powrócił z podróży, i zamieszkał jako prawnik w mieście. Ogród oddała w dzierżawę dawnemu ogrodnikowi, dla siebie zaś zatrzymała górną część domku, gdzie przepędzała letnie miesiące.

Ogrodnik, człowiek wiekowy, i nieco dziwaczny, zwłaszcza od paru miesięcy, po śmierci ukochanej żony i jedynego, nadzieją kwitnącego syna, jedynej jego podpory i pomocy w pracy, żył samotnie w jednym pokoiku, nie chcąc widzieć świata ni ludzi, od chwili, gdy dwie ukochane przez niego istoty wyprzedziły go jednocześnie do grobu.

Siedział on teraz w kuchence przed kominkiem na pieńku, na którym zwykle drwa rąbał, pogrążony w smutku, zajadając obiad własną ręką ugotowany.

Wtem usłyszał radosne szczekanie psa, ogryzającego szczątki obiadu w przedsionku.

Wnet drzwi się uchyliły, i w progu stanęła Karolina.

Starzec był wielce przywiązanym do swej dobrotliwej pani, która w ciężkich chwilach niedoli okazała dlań wiele współczucia, a umierającemu synowi własną ręką zawarła powieki. Widok jej obudził bolesne wspomnienia w sercu nieszczęśliwego starca.

— Dzień dobry, Weit,— powiedziała ze zwykłą uprzejmością, — nie przerywajcie sobie obiadu. Później nieco ugotujecie i dla mnie trochę strawy—teraz jeszcze zawcześnie.

Przedewszystkiem muszę wam powiedzieć, iż niewolno, aby ktokolwiek wiedział, że ja się znajduję tu, u was.

Czy potraficie skłamać, Weit? Wiem, że wam to z trudnością przyjdzie, ale jest to koniecznem, i chcąc nie chcąc musicie się zgodzić na to.

Być może, — zcicha mówiła, — iż własny syn mój szukać mię tu będzie; gdyby przyszedł, Weit—rozumiecie mnie—od trzech tygodni nie widzieliście jego matki; grzech jaki przez to kłamstwo popełnicie, biorę na moje sumienie, — a jeżeli nie uwierzy wam,—bo być może, iż mówiąc to, zarumienicie się, pomimo waszych 66 lat,—gdy mię szukać będzie w całym domu, skryję się natenczas na strychu, gdzie zwykle przechowujecie przez zimę nasiona i cebule, klucze, macie powiedzieć, są już dawno zatracone... Zrozumieliście mnie?..

A teraz otwórzcie mi drzwi niebieskiego pokoju, podajcie mi pióra, atramentu i papieru, muszę napisać pilny bardzo list...

Stary samotnik, zawsze skąpy w słowa, tembardziej w ostatnich czasach, robił wrażenie człowieka o zapieczętowanych ustach. Potakiwał on wszystkiemu, co zasłyszał, zaprowadził panią swoją na górne piętro, otworzył okiennice, a nie chcąc kończyć obiadu, nie wyszedł z pokoju, dopóki nie rozpalił ognia, by odświeżyć nieco stęchłe i zastygłe powietrze oddawna zamkniętego i niewietrzonego pokoju.

Gdy wszystkie przyrządy do pisania zostały przyniesione, co trwało dosyć długo, Karolina zabrała się do skreślenia listu, którego treść po stokroć układała w myśli, w drodze do domku.

Zostawszy sama, posmutniała niezmiernie. Głęboka troska, silne wycieńczenie odbijały się na jej twarzy, a oczy błądziły ustawicznie po znanych jej ścianach, gdzie zaledwie widoczne były szczątki wygodnego niegdyś, wdowiego zakątka.

— O, Boże! o, mój Boże! — powtarzała od czasu do czasu, przechadzając się po świeżo wymytym pokoju, w kapeluszu, otulona w płaszczyk, choć ogień trzeszczał na kominku.

Wtem przyszedł Weit, pytając:

— Czy pani nie zechce posilić się cokolwiek?.. Lecz został odprawiony z niczem.

Nagłe szczekanie psa przestraszyło ją bardzo, schowała szybko kałamarz i papier do szuflady, i czekała, rychło wypadnie jej skryć się na strychu.

(dok. nast).

ROZMAITOŚCI.

— Przed kilku miesiącami pisma doniosły o spaleniu się w Paryżu wielkiego magazynu „Au printemps.“

Był to jeden z najbogatszych magazynów Nowości, uczęszczany przez elegantki, które znaleźć tam mogły wszystko, co moda i elegancya wymaga.

Właściciel jego p. Jalusot, sławnym był z powodu milionów, nabytych handlem i ciągle powiększających się wskutek szczęśliwych obrotów.

Przeszło tysiączny personel wchodził w skład magazynu, pełniąc obowiązki kupczyków, subiektów, młodych osób do przymierzania ubrania, prostych robotników i robotnic.

Ludzie ci zostali pozbawieni chleba zupełnie, większa ich część zamieszkiwała górne piętra magazynu, ze szczętem więc sprzęty ich spłonęły, pozostali bez dachu i ubrania, pozbawieni—źródła zarobku, a pryncypał ich w chwili nieszczęścia, te tylko dla nich znalazł gorzkiej ironii słowa: „iż wolność im zwraca.“

Towary były na 8 milionów ubezpieczone, więc było czem biedakom łzy otrzeć. Wyręczając nieludzkiego pryncypała, ludność Paryża pochopna do dzieł miłosierdzia, składkę między sobą uczyniła, którą rząd 5 tysiącami franków powiększył, zabezpieczyło to biedne istoty na razie od nędzy i pozwoliło postarać się o pracę.

Wypadek ten dał pochop rządowi Rzeczypospolitej do narad nad złem uorganizowaniem straży pożarnej. W Paryżu brak możności szybkiego zawiadomienia straży o pożarze, brak też koni, które w takich razach odprzęgają się nolens volens od omnibusów lub ekwipaży,—i czy pospieszyć wtedy znużone zwierzęta mogą i czy przybywają na miejsce dość na czas, aby uchronić miejsca zagrożone i wydrzeć pastwie płomieni?

Wielkie te niedostatki straży ogniowej w Paryżu, dadzą się chyba tem wytłumaczyć, iż bardzo tam jest rzadki wypadek ognia. Domy wszystkie są budowane z kamienia i żelaza, mieszkania ogrzewają się zaledwie przez parę tygodni zimowych, małym ogniem kominkowym. A jednak tej zimy były aż trzy większych rozmiarów pożary, które znaczne straty poczyniły.

Pożar w Tuillerie u prefekta Sekwany p. Herold, powstały z rozbicia się lampy naftowej.

Drugi pożar u p. Ks. de Montepin, znanego pisarza, który pochłonął w zupełności jego pałacyk z dziełami sztuki znacznej wartości.

Być może, że straty te, tak znaczne, przyczynią się do zorganizowania w Paryżu lepszej straży ogniowej.

— Wielkiej doniosłości wynalazek budzi obecnie najżywsze zajęcie w Paryżu.

Inżynier amerykański p. Malhère, francuz rodem, skonstruował i wystawił na próbę w stolicy Francyi, maszynę do wyrabiania koronek klockowych, czyli tak zwanych „prawdziwych,“ a dokonane z nią próby przeszły w istocie wszelkie oczekiwania.

Maszyna Malhèra wyrabiać może na dzień około 20 metrów koronki, 7 centim. szerokiej, wartości 236 franków, we wszelkich wzorach rysunkowych, a wyrób ma być taki czysty i dokładny, że w niczem zupełnie nieustępuje robocie ręcznej.

Próby odbywają się publicznie, w domu pod N-rem 189, przy ulicy Saint Maur, a sprzedaży wyrobów podjęła się „Bourse parisienne,“ przy ulicy Laffite'a, 40. Zawiązało się już nawet towarzystwo akcyjne z kapitałem pół miliona franków, dla wyzyskania wynalazku Malhèra, który osobiście kieruje próbami i przedstawił się w tych dniach prezydentowi p. Grevy'emu.

Jeden ze sprawozdawców nazywa maszynę Malhèra największym wynalazkiem bieżącego stulecia, na polu mechaniki, dodając, że akcyonaryusze wspomnionego przedsiębiorstwa, już dziś zapewnioną mają korzyść na 60 przeszło od sta rocznie!..

Cóż się jednak stanie z przemysłem domowym, z tysiącami biednych robotnic, w górach czeskich i wielu innych okolicach, jeżeli i ten ciężki kawałek chleba wydrze maszyna rękom ludzkim?..

Od Redakcyi.

Z powodu przetrzymania w tutejszym Kantorze pocztowym przesyłki naszych rycin z zagranicy i niedoręczenia awizacyi w swoim czasie — Numer przeszły, to jest 21-szy jakoteż i niniejszy—uległ opóźnieniu. Szanowne prenumeratorki, ze względu, iż to z winy Redakcyi niepochodzi—raczą opóźnienie to wybaczyć.

Dla wiadomości Osób

na prowincyi zamieszkałych, które przysłać pragną miarę na fasony z bibułki, lub zamówienia na robotę w **naszej pracowni**, podajemy sposób dokładny brania miary.

Miara bierze się w następujący sposób:

1) Długość pleców od szyi do talii.
2) Szerokość pleców, gdzie się zaczynają boczki pierwsze w staniku.
3) Długość przodu od szyi do talii.
4) Szerokość piersi.
5) Objętość w gorsie, t. j. przeprowadzić miarę pod pachami przez całą figurę.
6) Objętość talii.
7) Długość rękawa.
8) Długość spódnicy z przodu.
9) Długość spódnicy z tyłu.

Do oznaczenia miary, używamy miary francuzkiej, metra podzielonego na centymetry.

Wszystkie długości przy braniu miary, piszą się w całości, a szerokości w połowie.

Pracownia sukien, przy **szkole rzemiosł** istniejąca, przyjmuje zamówienia na **suknie, okrycia i dziecinne ubranka.** Prenumeratorki z prowincyi, przy zamówieniu, dołączyć powinny wyżej wskazaną miarę.

Cena sukni kretonowej od 7 rs. i wyżej.
Cena sukni wełnianej z naszego materyału od rs. 25 i wyżej.
Cena okrycia . . . . od rs. 15 i wyżej.
„ ubranka dziecinnego od rs. 3 i wyżej.

OGŁOSZENIA
przyjmują się w cenie 10 kop. za wiersz lub jego miejsce.

Niecała 8.
W SZKOLE RZEMIOSŁ

przy redakcyi Nowych Mód Paryzkich
rozpoczął się kurs KORONEK, z tego powodu przyjmuje się zapis uczennic na **naukę koronkarstwa.** Oprócz koronek wykładają się: **Nauka kroju, stroje, introligatorstwo, malowanie na porcelanie, heliominiatury, kwiaciarstwo, rękawicznictwo, haft maszynowy, robótki damskie** i t. p. przedmioty w zakres rzemiosł, dostępnych kobietom wchodzące.

NIECAŁA, 8.

PRACOWNIA SUKIEN
wykonywanych starannie, podług najświeższych żurnali Paryzkich.

FASONY Z BIBUŁKI,
podług najgustowniejszych modeli, tudzież:

NAUKA KROJU, STROJÓW I RÓŻNYCH ROBÓT KOBIECYCH

dla uczennic przychodnich i stałych, u Redaktorki i Wydawczyni pisma: „Nowe Mody Paryzkie“
Maryi Ratyńskiej.

NIECAŁA, 8.

Do dzisiejszego N-ru dołącza się: Fason z bibułki i Dodatek powieściowy, „Anna Hereford,“ ark. II i „Historya Paryżanki,“ ark. 3.

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Мая 1881 года.

W Drukarni J. Bergera, ulica Elektoralna Nr 14. Redaktorka i Wydawczyni **Marya Ratyńska.**